

Andrzej Sapkowski "Miecz przeznaczenia". Fragment

Następnego dnia urządzili sobie coś w rodzaju uroczystej wieczerzy. W mijanej wsi Essi i Geralt kupili sprawione jagniątko. W czasie, gdy się targowali, Jaskier cichcem wykradł czosnek, cebulę i marchew z warzywniaka za chałupą. Odjeżdżając, świsnęli jeszcze kociotek z płotu za kuźnią. Kociotek był lekko dziurawy, ale wiedźmin zalutował go Znakiem Igni.

Wieczerza odbyła się na polanie, w głębi puszczy. Ogień trząsał wesoło, kociotek bulgotał. Geralt mieszał w nim troskliwie koziołkiem sporządzonym z okorowanego czubka choinki. Jaskier obierał cebulę i skrobał marchew. Oczko, która pojęcia nie miała o gotowaniu, uprzyjemniała im czas, grając na lutni.

To była uroczysta wieczerza. Bo rano mieli się rozstać. Rano każde z nich miało ruszyć w swoją drogę; na poszukiwanie czegoś, co już przecież mieli. Ale nie wiedzieli, że to mają, nawet nie domyślali się tego. Nie domyślają się, dokąd zaprowadzą ich drogi, którymi mieli rano wyruszyć. Każde z osobna.

Gdy się objedli, opili, sprezentowanym przez Drougharda piwem, poplotkowali i pośmiali, Jaskier i Essi urządzili zawody śpiewacze. Geralt, z dłońmi pod głową, leżał na legowisku ze świerkowych gałązek i myślał, że nigdy nie słyszał tak pięknych głosów i równie pięknych ballad. Myślał o Yennefer. Myślał też o Essi. Miał przeczucie, że...

Jaskier, wpatrzony w dogasające ognisko, siedział jeszcze długo sam, cicho pobrzękując ma lutni. Zaczęło się od kilku taktów, z których złożyła się zgrabna, spokojna melodia. Wiersz, pasujący do melodii, powstał jednocześnie z nią, słowa wtapiały się w muzykę, zostawały w niej niby owady w złotoprzeczystych baryłkach bursztynu.

Ballada opowiadała o pewnym wiedźminie i o pewnej poetce. O tym, jak wiedźmin i poetka spotkali się na brzegu morza, wśród krzyku mew, jak pokochali się od pierwszego wejrzenia. O tym, jak piękną i silną była ich miłość. O tym, że nic, nawet śmierć, nie było w stanie zniszczyć tej miłości i rozdzielić ich.

Jaskier wiedział, że mało kto uwierzy w historię, którą opowiadała ballada, ale nie przejmował się tym. Wiedział, że ballad nie pisze się po to, by w nie wierzono, ale po to, by nimi wzruszano.

Kilka lat później Jaskier mógł zmienić treść ballady, napisać o tym, co wydarzyło się naprawdę. Nie zrobił tego. Prawdziwa historia nie wzruszyłaby przecież nikogo. Któż chciałby słuchać o tym, że wiedźmin i Oczko rozstali się i nie zobaczyli już nigdy ani razu? O tym, że cztery lata później Oczko umarła na ospę podczas szalejącej w Wyzimie epidemii? O tym, jak on, Jaskier, wyniósł ją na rękach spomiędzy spalonych na stosach trupów i pochował daleko od miasta, w lesie, samotną i spokojną, a razem z nią, tak, jak prosiła, dwie rzeczy – jej lutnię i jej błękitną perłę. Perłę, z którą nie rozstawiała się nigdy.

Nie, Jaskier pozostał przy pierwszej wersji ballady. Ale i tak nie zaśpiewał jej nigdy. Nigdy. Nikomu.

Nad ranem, jeszcze w ciemnościach, do biwaku podkraść się głodny i wściekły wilkołak, ale zobaczył, że to Jaskier, więc posłuchał chwilę i poszedł sobie.